

TADEUSZ CZAPCZYŃSKI.

TWÓRCZOŚĆ POWIEŚCIOPISARSKA JÓZEFA WEYSSENHOFFA.

(Jednostronna analiza wewnętrznej konstrukcyi).



STANISŁAWÓW.

Z Drukarni i Litogr. Stanisława Chowańca w Stanisławowie.
1914.



6958

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

Twórczość powieściopisarska Józefa Weyssenhoffa.

(Jednostronna analiza wewnętrznej konstrukcji).

Jeśli okiem rzucimy w zamierzchłe czasy zarania powieści polskiej, w epokę „Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego“, czy w późniejsze czasy kształtowania się powieści polskiej w rękę Bernatowicza, Kraszewskiego czy Kaczkowskiego, czy wreszcie wglębimy się w twórczość rozlicznych autorów doby wczorajszej lub dzisiejszej, odnaleźć możemy jako wybijające się cechy powieści polskiej zasady, wygłoszone przez Kraszewskiego...

Pierwsza cecha zawiera się w słowach: „Powieść, będąc chlebem powszednim dla wielu, powinna jak chleb być zdrowa. Do niej należy sprostowanie zakorzenionych fałszów, wytepienie wad domowych, upopularyzowanie idei dobra i piękna; każda potrzeba wieku tętnić w niej powinna, każdy żal słuszny znaleźć echo, każde poczciwe pragnienie obrońcę, każda wada chłostę“.

To charakterystyka obowiązków powieściopisarza, którego uważając za „żyjącego z posłannictwem dnia dzisiejszego“, pasuje przez to samo Kraszewski na duchowego przewodcę narodu.

Zasada druga, to owa niezniszczalna wiara w przyszłość narodu: „W naszym kraju przy mnóstwie wad są jeszcze niestrwonione zapasy, które nagromadziła przeszłość. Jest z czego zbudować coś na jutro... U nas jest życie jutra, są siły“...

Te dwie zasady, praktycznie przeprowadzone przez tak wybitne postaci jak Sienkiewicz, Orzeszkowa, czy Żeromski i inni, wywołały pewną jednostronność naszych wymagań estetycznych, które pierwiastek narodowy czy społeczny, ideę czy tendencję uważają nietylko za nierozdzielny, ale nawet za jedynie miarodajny i konieczny element powieści.

Przyjęcie się zaś tych zasad u nas znalazło podatny grunt w stosunkach wewnętrznych narodu, który, nie mogąc ani na chwilę z oka spuszczać zagadnienia bytu, musiał wyrobić w sobie odrębną, narodową estetykę.

I dlatego powieść każda zajmuje nas nie tylko jako przejaw twórczy duszy danego artysty, ale urasta do wielkości czynu, za który autor jest odpowiedzialny przed sądem narodu.

Z tego też konsekwentnie wynika, że wszelki przejaw życia narodowego znajduje natychmiast odbicie w twórczości powieściopisarskiej, że każdy prawie pisarz będzie się starał przedłożyć narodowi swój sposób tłumaczenia i rozumienia i swoją krytyczną ocenę. Tak było z rokiem 1863., który do dzisiejszego dnia jest bodźcem do tworzenia haseł i programów narodowych, takim też pobudzającym twórczość czynnikiem był ostatni ruch rewolucyjny na ziemiach polskich w latach 1904—7.

Każdy pisarz uczuł w sobie owo „posłannictwo dnia dzisiejszego“, każdy, wierząc w „życie jutra“, chciał na tle rewolucyi odtworzyć „potrzebę wieku“...

Rewolucya bowiem miała dla rozwoju myśli polskiej zasadnicze, probiercze znaczenie. Po tragedyi r. 1863 odzwyczailiśmy się myśleć i działać pod kątem niepodległości Polski. Myśli nasze i czyny mimo całą realność działania czy to pod względem politycznym czy nawet ekonomicznym, były zawsze tylko eksperymentowaniem, teoretyzowaniem. W nagłówku naszego myślenia stał wciąż program maksymalny, ale zmuszeni siłami zewnętrznymi, przez zaborcze rządy nam narzuconemi, przyzwyczailiśmy się wykonywać, a nawet zastosowywać i w myślowych koncepcjach program minimalny, bardzo często kwietystyczny. A ta ograniczoność koncepcyi schodzić też zaczęła ku naszym sprawom wewnętrznym, zbyt często opartym na kruchych podstawach oportunistycznym.

Rewolucya, choć sytuacją polityczną wywołana i polityczne cele na oku mająca, odkryła nam i odsłoniła nieznane dotąd siły społeczne i kierunki narodowej myśli, obudziła nadzieję i w gorącej złudzie ujawniła prawdziwy obraz rozlicznych naszych usiłowań, dodatnich i ujemnych, zdrad i szlachetnych porywów, narodowych rzucań się w ramiona zgody i bratobójczych strzałów z brauninga, bandytyzmu i bojówki, ekonomicznej ruiny i niebywałej, szczodroblivej warstw wszystkich ofiarności, pogardy śmierci i obrony życia aż do szpiegowskiej podłoty.

Rewolucya ostatnia otworzyła nam na chwilę usta i pozwoliła odsłonić się więzionej, milczeniem zdławionej duszy.

Pod względem psychologicznym zagadnienia te były nadzwyczaj ciekawe, co więcej — nowe, pod względem zaś fabuły dostarczyć mogły nieskończoną wprost obfitość wątków powieściowych i faktów, które same przez się, jako takie, były świetnymi, literackimi tematami.

Dość okiem rzucić na kronikę tych lat, ażeby z łatwością wydobyć dziesiątki zagadnień, na które powieść odpowiedzieć, które zużytkować, oświecić i wyjaśnić mogła właśnie ze stanowiska psychologicznego, literackiego. Dość wspomnieć n. p. kwestyę stosunku rewolucyi w Królestwie do rosyjskiej, czy to w ujęciu ogólnem czy poszczególnych, taktycznych przejawach; stosunek Polski do wojny, która wywołała mobilizacyę, dająca hasło do krwawego ruchu demonstracyjnego, że wspomnę tylko tragedye na placu grzybowskim; hasła zbrojnego powstania i nagły na linii całej odwrót za okopy autonomii, sejmu i konstytuanty, by wreszcie wywiesić jeno białą flagę samorządu; akcyę memoryałową 23, Sienkiewicza czy Tyszkiewicza i złączone z tem deputacye i delegacye do Petersburga; strajki polityczne i jako formę walki i jako ruch ekonomiczny i zawarte w nich zagadnienie ideowe czy też klasowe; kwestyę języka polskiego w gminach, na kolei warszawsko-wiedeńskiej; nie tylko polityczne cechy mający strajk szkolny, strajk dzieci poparty przez rodziców; nieziszczone nadzieje ukazu tolerancyjnego; wybory; tragedye Macierzy polskiej i tylu innych kulturalnych Towarz. i organizacyi; zamachy i bojówkę, robotę tajną, kwestyę żydowską i t. d. i t. d.

Oto część tych zagadnień, które mogą czy mogły stać się tłem do odtworzenia zmagania się współczesnej duszy polskiej z najrozmaitszych stanowisk i punktów widzenia, a więc powieści tak psychologicznej, jak społecznej o celach czysto literackich, artystycznych, a cóż dopiero powieści tendencyjnej...

Każde z tych zagadnień ma w sobie dość treści, każde stoi na granicy polskiego „być albo nie być“, każde musi być przez każdego z nas rozwiązane jako zagadnienie dla nas wciąż jeszcze aktualne, bo zagadnienie duszy polskiej.

Jednym z najciekawszych dowodów tego brania w niewolę zagadnienia nawet pisarzy, których zdolności w innym kierunku

raczej powieść powinny, jest znamienna twórczość Józefa Weysenhoffa. Przed rewolucją był on już pisarzem o zdecydowanym charakterze twórczym z pewnym podkładem zagadnienia, ale dopiero rewolucja zmusiła go do pogłębienia i rozszerzenia własnych myśli i do przeprowadzenia całkowitego programu, który doprowadza do wniosku, że jest on i w założeniu i nawet w twórczym dążeniu ucieleśnieniem się w duszach czytelników, jak prawie wszyscy współcześni powieściopisarze polscy, — społecznikiem.

Bogaty, z 6 powieści i 3 tomów nowel złożony, a w licznych tysiącach egzemplarzy rozchodzący się dorobek, od pierwszych nowel do ostatnich świadczy o tem, że życie jednostek czy grup w znaczeniu społecznem t. j. pojęte jako związek przyczynowy, jako dodatnio lub ujemnie oddziaływujące na inne jednostki lub warstwy czy naród cały, jako zagadnienie narodowego bytu, dla Weysenhoffa nie jest obojętne, przeciwnie, w całej jego twórczości można wykazać szukanie pewnych wskazań dla narodu, drogą bądź negatywną, bądź też pozytywną.

Zrazu weźmie ona pod uwagę jednostki, a tylko nieśmiało rozciągać będzie swój sąd na warstwę, raczej kastę arystokratyczną, potem przez przedstawienie ujemne prawie typowej postaci, ogniskującej w sobie całe wyrafinowanie tej warstwy, uderzy w nią taranem, spróbuje przeciwstawić jej swój pozytywny program, drogą pośrednią dotyczący użyteczności społecznej jednostek wobec narodu. Ten program rozszerzy on na dalszą krytykę arystokracji, znów przeciwstawiając jej działacza realnego.

Ale program wtedy jest dobry, miarodajny, o ile wytrzyma próbę ogniową użyteczności wobec warstw wszystkich narodu.

Do nich też zwołna Weysenhoff zstępuje: wchodzi w sferę ziemian, miasta, dotyka stosunków wiejskich i miejskich, obszarnika, inteligenta, chłopca i robotnika, dotyka i rozważa przeróżne zagadnienia, by z tych poszczególnych ustosunkowań wydobyć wreszcie swój własny program, dla narodu obowiązujące wskazanie.

Do takiego ujęcia twórczości doprowadziły nas między innymi pojęcia Weysenhoffa o tworzeniu artystycznym i o celu sztuki.

U wstępu działalności Weysenhoffa w r. 1891 w „Bibliotece Warszawskiej“ spotykamy słabe pod względem metody i wartości

naukowej, ale ciekawe ze względu na stanowisko autora, studium krytyczne p. t. „*Nowy fenomen literacki*“, omawiające twórczość Baudelaire'a, Verlaine'a, Maeterlincka i innych przedstawicieli „symbolicznego dekadentyzmu“. Choć autor stara się zachować przedmiotowość, co krok wymykają mu się zarzuty przeciwko „sybarytyzmowi“, „kapryśnym instynktom“, „nerwowym żądom i zbożeniu ludzkiej natury“, przeciwko stylowi nowemu; nieczuły jest na nowe „nastroje“, często ironizuje i „symbole“ i „stany duszy“ i „poetycką instrumentację“. Gdy znów gdzieś mimochodem niby zaznaczy, że twórczość dekadentów-symbolistów, to „schlebianie wymaganiom przeżytej i zgorączkowanej części społeczeństwa“, gdy zarzuci Maeterlinckowi, podobnie jak potem Wyspiańskiemu, „próżniactwo myśli, połączone z anormalnym stanem nerwów“, każe nam to doszukiwać się u Weyssenhoffa nietylko przyczyn, wynikających z jego „pozytywnych i doświadczalnych założeń, z żądania barwności i dobitności wyrażen“, ale z założeń czysto społecznych, dbających o wyleczenie wieku „z nerwowej choroby“, stwierdzonej, jak autor zaznacza, przez „świeże badania medyków“ i z wiary, że poezja ma obowiązek wносить uszlachetniające pierwiastki w życie społeczne.

Te same myśli, ale wypowiedziane już daleko jaśniej i dokładniej, spotykamy też w „*Rozmowach literackich*“, drukowanych w „*Tygodniku ilustrowanym*“ w r. 1909. I tu wystąpi Weyssenhoff przeciwko szukaniu w sztuce „siły wyłącznie emocjonalnej, dorażnych wstrząśnień i zadziwień, łatwych, zmysłowych rozkoszy, z pominięciem trudniejszych wrażeń, skombinowanych z odkryciami w dziedzinie intelektualnej“, bez której wizja poety czy pisarza przestaje być dziełem sztuki, nie tylko „systematycznego zamiaru“, którego brak jest gorszą wadą niż tendencyjność, nie tylko „obserwacji głębszej istoty swojej i społeczeństwa“, ale każe pisać dzieła, „wymagające silniejszego namysłu“, któreby pobudzały „do łez dobrych, do mądrego uśmiechu, do zapалу, do spotęgowanego czucia i myślenia“. To w połączeniu z wymaganą od pisarza „wartością moralną“ i charakterystyką Wyspiańskiego, którego określa jako „nerwowego twórcę“, „dobrego obywatela“, lub „serdecznego syna ojczyzny“ — daje nam dość dokładny obraz „nowej estetyki“ Weyssenhoffa, opartej przede wszystkim na społecznym pierwiastku. A że one się ciągną i trwają od zarania jego twórczości do dziś dnia niemal — śmiało możemy jego twórczość z tego przedewszystkiem stanowiska

rozpatrywać. Nie będzie to całokształt pierwiastków, w niej tkwiących, ale naczelna, zasadnicza „myśl przewodnia i syntetyczny zamiar“ autora.

„Zaręczyny Jana Belzkiego“ i „Za błękitami“ wprowadzają nas odrazu w świat, w którym się stale, z wyjątkiem kilku nowel, obrać będzie Weyssenhoff.⁵ Więc świat wysokiej i trochę niższej arystokracji polskiej, ozdobionej francuskimi kuzynami, dwór wiejski i miejskie salony lub pierwszorzędne hotele i na tem tle odpowiedni ludzie, których zalety i wady łączy w sobie prawami opinii związana i dla opinii żyjąca Celina.

Hr. Jan Belzki, który w najszlachetniejszej myśli, „chory na miłość“ zabija rzekomego rywala — to jeden z tych nielicznych romantyków, którzy życie biorą na seryo, którzy przypatrują się przebytym chwilom, wglądają w siebie, by przez tę dyssekcję jeno pogłębić rany — ten hr. Jan, to człowiek różny od otoczenia, które zdaje się powtarzać słowa Celiny: „żeby z panem puścić się w drogę, trzebaby cały świat pożegnać“. Tymczasem ostatecznie, przekonawszy się, że miłość — to jednak „straszna choroba“, rzuca on tę zgniłą „atmosferę rozkoszy“, która go doprowadziła do zabójstwa niewinnego człowieka, by pójść „szarą, stromą drogą, mijającą się często z drogą zadowolenia osobistych pragnień“, do „skib czarnych, krajanych ciężkim pługiem“.

Tak więc mamy nie tylko świetną psychologię tragicznej sielanki miłosnej, ale i społeczny wniosek, który żąda pracy dla społeczeństwa i podporządkowania jej miłości egoistycznej.

Z cech, które się potem powtórzą, podkreślić jeszcze należy tu tylko uwidocznioną zdolność ironicznego ujmowania w krótkich nawet rysach życia takich Falkiewiczów, co sprzedali las, i zjechali do Warszawy, by wśród zgielku balów znaleźć męża dla córki lub księżąt Koryatowiczów, wyglądających jak „portret staroego hetmana, przebrany w żakiet od Poola“ i „udającego paryskiego zdobywcę serc“.

W noweli „Za błękitami“ mamy też przedewszystkiem dodatnie postaci, które, nawzajem się uzupełniając, składają się na pewien pozytywny program autora. Satyra, zjawiająca się epizodycznie, usuwa się na plan bardzo odległy. Na planie pierwszym utrzymuje się Franio Warecki, zdrowy, silny, za młodu szumiący, ale od chwili prawdziwej miłości z zapalem pracujący ziemianin, i obok niego, znacznie troskliwiej, z miłością opracowana postać Stanisława Okszyca, co realizacyi swych pragnień

szuka i spodziewa się — za błękitami. Ale autorowi nie tyle chodzi o tę możliwość realizacji, ile o danie pod pewnym względem obrazu „życia człowieka poczciwego“ naszych czasów. Ideal jego to ziemianin, filozof, esteta, głęboko umiejący odczuwać piękno przyrody, stosunki społeczne czy historyczne. Okszyck może nie wszystkie te cechy skupia w sobie, możeby trzeba poszukać wypadkowej przy pomocy Wareckiego, ale w każdym razie ideału autora jest on najbliższy.

I tu więc możemy podkreślić nowe uwarstwienia poglądów Weyssenhoffa, do dawnych dodamy miłość zabytków, literatury, przeszłości przywiązanie i ocenianie ziemi rodzinnej i objawów życia — więc częściowo czysto realne, ale prócz tych i te wyższe, duchowego życia tyjące właściwości, często uważane za niepotrzebne lub paczone i krzywione. Nawiasowo zaznaczyć trzeba, że już tu, wprawdzie ubocznie, zaznacza Weyssenhoff swą antypatyę do Żydów.

Ogólny wniosek doprowadza nas do skonstatowania, że i tu chodzi Weyssenhoffowi o pewne pozytywne dane, mające przynieść społeczeństwu dodatnie wartości.

I, zdaje się, rozpoczął Weyssenhoff badania, czy takie wartości znalazłyby oddźwięk, rozpoczął szukać, kto w tych wyższych warstwach znajduje największy posłuch, kto niemi kieruje. I oto w odpowiedzi odnalazł entuzjastyczne zapiski Jacka Ligęzy o panu Podfilipskim i jego bliższych i dalszych przyjaciółach i imitacjach. W ślad zaś za tymi dalsze badania wykryły potężne twierdze Waru i Chojnogóry, które tworzą ową zwartą trójkę polskiego zastoju. W stosunku do „Zaręczyn Jana Bełzkiego“ i noweli „Za błękitami“ jest „Pan Podfilipski“, świat arystokracji z „Dołęgi“ i „Syn marnotrawny“ przyczynowym, negatywnym obrazem, dopełniającym i wyjaśniającym postawione poprzednio zagadnienie i zmuszającym do rewizji programu i szukania nowych ludzi, którym, dopóki nie przemienią się w Budziszów czy Rokszyckich, będzie na imię Tomasz Podfilipski, Jan Dołęga lub Fabiusz Oleski.

Jaką im rolę autor wyznacza w swych powieściach i w życiu?

I tu z góry zaznaczyć należy, że wszystkie t. zw. programowe postaci Weyssenhoffa są stale drugoplanowe, nie wyłączając Dołęgi, choć on odgrywa niby rolę bohatera powieści. Tak Tomasz Podfilipski jak Fabiusz Oleski czy Jan Dołęga są tylko potrzebnym kontrastem do tem jaśniejszego, pełniejszego i pla-

styczniejszego przedstawienia i przeciwstawienia arystokracji, o której analizę psychologiczną chodzi autorowi. Są oni tylko jakby zaznaczeniem, że autor ma na myśli i ocenę społeczną opisywanej przez siebie warstwy ludzi. Słaby więc biorą udział w akcji, choć czasem pozornie są jej motorem.

Pierwszy z nich, Tomasz Podfilipski, pełen poświęcenia mąż p. Aliny, gubi się i niknie przy misternie wyrzeźbionej postaci „wielkiego“ Filipa, który „zarazem był legią samą i jej dowódcą“, który był i jest jeszcze dzisiaj świetnym przedstawicielem tych warstw arystokracji, dla których „ubi bene, ibi patria“, których „mądrość“ życiowa zależy na liczeniu się z wadami i ułomnościami bliźnich, bo daje siłę i panowanie, dla których podstawą płytkiej egoistycznej filozofii życiowej jest wiara, że „człowiek przywiązany jest instynktownie do rozkoszy“ i to do tych, które, wychodząc „od szczegółów“, przedewszystkiem żołądek mają w wielkiej pieczy i tę egoistyczną „złotą mierność“ przenoszą na wszystkie dziedziny społeczne aż do wyrzeczenia się dla wygod y narodowej odrębności i niepodległości.

W zestawieniu z tą „szeroką“ postacią musi cichy, spokojny, pełen idealizmu i marzeń o szczęściu Tomasz Podfilipski zagasnąć, by dopiero przy pomocy krytyki literackiej okazać swoją pożyteczną działalność, lepszą od pracy Filipa, od panów Łatackich, pań Ołęckich, Fredów Zbarazkich lub nawet chcących reformować arystokrację Sweńskich lub Kostków.

A plastyki programowi pozytywnemu nie dodaje też migawkowo przedstawiony, w obronie polskiej prasy występujący Jan Rokszycki czy charakterystyczna postać Kołczanowicza. Dołęga, przedstawiony nie w fazie czynu, ale kiedy losy swego planu oddał w ręce Zbarazkich, Zbąskich, Szafranców, Zawiejskich i t. p., jest sam postacią bezczynną, bo czynem nie są fachowe jego zajęcia, a szosy odrazu wypadają mu z rąk i już ich do końca powieści pochwycić nie może. Stają się więc one tylko zwykłym środkiem kompozycyjnym. Dołęga jednak przez uzależnienie swej energii od arystokracji jest bardzo dobrem literackim ujęciem, a mającym przedstawić i uwydatnić na tym realnym podkładzie społeczną zdolność i zdatność owej „stojącej wody“, w której odrodzenie i on czasem wierzy, do której sam się przyznaje. Nie jest on więc bezwzględnie przeciwstawieniem, raczej rozszerza dawną koncepcję autora o nowy szczegół, Halszkę, która musi w tej warstwie zginąć i przystosować się do

ogólnego poziomu zakreślonego przez Karola Zbąskiego czy nawet Włoska lub Kerstena, którzy i miłości szczerzej nakładają wędzidła tradycji i rodowej godności. Pozytywne, utylitarne wartości społeczne przedstawia raczej twardy i energiczny przemysłowiec, Helle.

Podobną drugorzędną rolę odgrywa Fabiusz Oleski, trzeci z kolei „programowy“ bohater Weysenhoffa, występujący w „Synu Marnotrawnym“, przydługiej powieści, w której autor, jak nigdzie obszernie, zajmuje się na tle miłosnego stosunku do jakiejś panny Karoliny Kulig, pięknej pani Fernandy de Sertonville, p. Anny Oleskiej czy wreszcie Stelli — analizą słabej czy podłej duszy Jerzego Dubieńskiego. Rola Fabiusza jest tu podrzędną, bo Weysenhoff uległ raczej pokusom odmalowania Rivieri czy Rzymu, chęci zapoznania czytelników z poglądami swymi na sztukę, zwłaszcza muzykę, niż postawienia i przedstawienia zagadnienia. Ale i ono się jasno zaznacza. Mieszkańcy Chojnogóry to jeszcze bardziej zakostniali w martwocie godności rodowej, jeszcze gorsi od Zbarazkich, bo brak im nawet tej pańskiej szczerości i pozorów prawdziwego dostojeństwa, a pełni są wad, hipokryzji i brudu, który ich stawia obok Podfilipskiego, jako gorszego typu niezdolnych uczniów. Postaci ze świata arystokracji francuskiej, niemieckiej, angielskiej czy jakiej tam jeszcze są tylko uogólnieniem czy może usprawiedliwieniem sądu autora wogóle o arystokracji, która jak do Mekki zjeżdża do Montecarlo. Takiej ocenie nie przeczy nawet postać Tadeusza Dubieńskiego, który treści narodowej nie wzmoże, a jest raczej szczęśliwym awanturnikiem.

Pozytywną stronę zagadnienia, krótką, jakby wstawioną, dźwiga na sobie szlachetny Fabiusz Oleski, który jest niejako jaskrawym obrazem, jak wśród tych ludzi wygląda myśl poważna choćby o sztuce, a cóż dopiero myśl społeczna, zaprzętająca się walką z Niemcami i wyborami na Ślązku. Znowu więc kontrast tylko. Oni go muszą znieważać, oplwać i wyrzucić za nawias, jako zbyt silny kontrast. Dla nas jest on wskazówką, w jakim kierunku zdążają realne plany Weysenhoffa, który do ekonomicznego programu Dołęgi, Hellego i Tomasza, dołączy postulat politycznej działalności celem narodowego odrodzenia.

Dotąd omówione utwory składają się na pierwszą grupę powieści, poświęconych warstwie najwyższej urodzonych. Prekursorami nowych sił i czasów to Tomasz, Dołęga, Helle i Fabiusz,

bo działacze z arystokracji w polityce, w życiu społecznym nie widzą celu, a jeno środek. W tych utworach Weyssenhoff niejako wyczerpał cały program tej warstwy, przedstawił ich życie domowe, towarzyskie, społeczne, zajęcia w kraju i za granicą i wykazał społeczną i narodową bezwartościowość, za hetmanów narodu uważających się, karłów. Ale arystokracja to nie naród, obok nich są inni, którzy swym trudem znaczą dni...

I zaczął Weyssenhoff znowu szukać, czy są i gdzie są pożyteczne dla narodu siły, względnie, jakie to jednostki są za pożyteczne przez ogół uważane. Nie potrzebował iść daleko, za miedzą Waru czy Chojnogóry znalazł p. Budziszę, a chwila współczesna pomogła mu w wyszukiwaniu tła, na jakim najlepiej wydałby się ów świeżo „narodzony“ działacz, typowy polski demokrat rycerskiego pochodzenia, który przed kilku jeszcze laty przy spotkaniu z Panem Podfilipskim dał się poznać jako „ginący typ szlachty takiej, jaką ją sam Pan Bóg stworzył, zadowolonej z siebie, a nigdy z urodzaju“, nie czytającej gazet z zasady, chyba że jest wojna...

Ale stało się coś ważniejszego od wojny w Afryce czy Azji, w Królestwie porwał się do życia r. 1904. 1905. wybuchła rewolucja, która siłą rzeczy zmusiła p. Apolinarego do zajęcia się nie tylko gazetami ale i działaniem. Odżył w nim odrazu ów dawny szlachcic o ogromnej sile działania, ale pragnący przy tem błyszczeć i stać na czele, choć pod frazes, którego go nauczylu zawodowi agitatorzy, nie potrafi nic podłożyć i z realnych potrzeb chwili i z kierunku działania zupełnie sobie sprawy nie zdaje. Najcięższe przechodzi godziny, gdy się spotyka z pozytywnymi czy trzeźwymi pracownikami, najgładziej radzi sobie z nieuświadomionymi.

W ten sposób dzięki Panu Budziszowi zakres satyry Weyssenhoffa nie tylko rozszerzył się, ale nabrał naprawdę żywego i zupełnie szczerego, wesołego kolorytu.

By jednak poważne wnioski, wynikające i z powagi opisywanej chwili i z zamiaru autora, nie brzmiały zbyt pesymistycznie, zaznaczył Weyssenhoff, choć nie tak szeroko, że obok Budziszów znajduje się na szczęście cały szereg poważnie i z pożytkiem dla społeczeństwa, choć ciszej działających jednostek, jak pracująca nad oświatą ludu rodzina Wapowskich lub stacyczny, zakładający szkoły, szpitale i szosy, Jan Rokszycki.

Mimo to całość doprowadza do wyników, nie lepszych niż analiza życia arystokracji. Zewnętrzną oznaką sądu autora, to

ów na nowo do życia powołany ton satyryczny, który, choć częściowo ukrywa sąd autora, przecież ipso facto wyrok wydaje.

Podobnie rzecz przedstawia się i w drugiej części „Dni politycznych“, w których Weysenhoff sięgnął w naród jeszcze głębiej i wszechstronniej, tam, gdzie się w „Ogniu“ nowe życie tworzyło, w splątane koło rewolucji, gdzie obok Budziszów czy pomimo nich działały warstwy u Weysenhoffa nie spotykane lub tylko pobieżnie zaznaczone, obok arystokratów i ziemian socjaliści i demokraci różnego typu. W ten sposób Weysenhoff świat swój rozszerzył, swe wnioski oparł na szerokiej, społecznej podstawie, świadczącej o poważnym pojmowaniu „posłannictwa dnia dzisiejszego“.

Celowo używany ton satyry i ironii, ukrywający w sobie sąd podmiotowy autora, powoli w miarę powagi wypadków i pośpieszności nastroju, opuszcza utarte ścieżki, by wykazać poczucie artystycznej miary i uderzyć w poważne struny w takt zgodnej, wspaniałej wszechpartyjnej listopadowej manifestacji u stóp Mickiewiczowskiego pomnika. Zaznaczenie jednak ironicznego tonu z góry każe nam przypuszczać, że nowa próba w głąb dała wynik ujemny. I tu bowiem na tle znanych wypadków z r. 1905 i 1906, na tle strajku powszechnego, na tle entuzjazmu, jaki budził w części społeczeństwa ukaz październikowy, na tle krzątania się około wyborów do pierwszej Dumy aż do jej rozwiązania, na tle inicjatywy szkolnej i społecznej, nie znalazł Weysenhoff wartości dodatnich, uzdrawiających społeczeństwo, nie znalazł prawie nic, z czegoby można było „zbudować coś na jutro...“

Uderza go przedewszystkiem łączenie interesów klasowych z narodowym, chęć przemykania interesów partyjnych, które niepotrzebnie zamacają i osłabiają siły narodu zamiast je skupić celem zdobycia narodowego bytu.

I krytykuje Weysenhoff wszystkie partie: przedewszystkiem Żydów, którzy, zdaniem jego, wysunęli się w rewolucji na plan pierwszy, nadali charakter całemu ruchowi i w zgodzie z właściwościami swej rasy krzykiem i wrzaskiem i interesownością osobistą czy partyjną napelniali każdy odruch czy ruch polski, z góry odbierając mu znaczenie narodowego, a zniżając i wciśkając w ciasne ramy klasowości.

Socyalistom zarzuca Weysenhoff oprócz kosmopolityzmu niepotrzebne łączenie kwestyi ekonomicznych z ruchem nawskróś

politycznym, ciągle strajki, walkę z pracodawcami, a nawet bratobójczą walkę z narodowymi robotnikami.

Znamienne są pod tym względem słowa, które Weysenhoff wypowiada od siebie po aresztowaniu Demla z towarzyszką, wysłanych przez partycję do fabryki celem przekonania narodowych robotników o potrzebie strajku:

„My śmiejemy się w dalszym ciągu... Trochę młodego zapalu, zamkniętego w zgniłych murach, przerobi się na żółć mściwą lub stanie się nawozem pod zboża przyszłości?... Siła rwąca, zamiast się uświadomić i połączyć z rzeką sił dobroczynnych, zetrze się na pianę, grunt rodzinny porozrywa i oplwa? Cóż z tego? Fala dziejów nad tym drobiazgiem przepłynie. — Tymczasem pozostali przy polskim socyaliźmie Szmul Krótki, Berkowicz, Leichtfeder, Sobirajer... pozostał cały nasz *czarny milion*. On potrafi wielką teorię zastosować do pożądaných reform: do obalenia przesądów nacyonalistycznych i religijnych, a wreszcie do żydowskiej autonomii.

Ale nam, którzy odmienne mamy na przyszłość poglądy i zamiary, niech będzie wolno nie błogosławić robotom tych działaczy na ziemi naszej i *żałować* Demla, że się z *nimi* zadał“.

Ale nie tylko przeciwko socyalistom zwraca się ostrze satyry i zarzutów. Chłoscze nią i stronnictwo demokratyczno-narodowe i realistów. Takie postaci jak od parady historyczny Gwiazdowski w historycznym mieszkaniu, gadatliwy Kotulski, niezrozumiały kaznodzieja, prof. Łokietek, Monachczyński, Pawłowski i Gawłowski, to wszystko zarzuty, zwrócone przeciwko stronnictwu, które, zdaniem Weysenhoffa, brak istotnego programu zakrywało frazesem, tajemniczością, nadużywaniem pojęcia solidarności, które w arcyłatwy sposób umiało wszelką dobrą myśl *cudzą* — na swoją stronę zaanektować i policzyć na karb swego stronnictwa. Deputacya do Petersburga i Moskwy, przeprowadzenie wyborów rejenta Pliszki i chłopca Macieja Fyzyka, rzucanie hasel dla chwili lub celem zdobycia głosów, to wszystko surowe i poważne zarzuty, które Weysenhoff uogólnia, dobitnie zaznaczając, że „podobnych zwycięstw po całym kraju było prawie tyle, ile okręgów“.

Świetną w swoim rodzaju i żywo charakteryzującą „Stowarzyszenie“ jest odpowiedź Budziszsa, jaką on dał Pawłowskiemu

i Gawłowskiemu, dopytującym się, jakie są wyniki deputacyi do Petersburga:

„Kochani Panowie! Sprawa nasza postawiona została *tak*, jak potrzeba i *tam*, gdzie potrzeba. Postawiona *przez nas*, to jedna wygrana, a powtóre: u przedstawicieli jutrzejszego rządu raczej niż obecnego“ czyli, jak jakieś pismo dobrze napisało, na placu między miastem a pałacem Zimowym.

Także i realiści w osobach hr. Kostków, Heydensteina i towarzystwa u p. Siecińskiej nie przedstawiają żadnej realnej wartości w tak decydującej dla narodu chwili. Mają te same rodowe wady, jakie już przedtem Weyssenhoff przedstawił.

Postępowcy, adwokat Sarto i ekonomista Kolejko, lawirujący między obozem Stowarzyszenia a socyalistami, również spotkali się z dosadną, może i za surową krytyką, bo posądzającą ich przedewszystkiem o interesowność.

Jedynie znany już nam, Jan Rokszycki, z oddaniem pracujący nad podniesieniem oświaty, wyłączony jest poza nawias satyry. On jedynie zdaje się stać na wysokości zadania: cicho, bez krzyku i hałasu realizuje narodowe wartości, przygotowując szkołę polską, podstawę odrodzenia.

Stanowisko wobec dr. Węzłowskiego, zdaje się także potwierdzać ten *bezpartyjny program narodowej użyteczności*. Tak bowiem mówi o stosunku partyi Stowarzyszenia do niego:

„Choć“ człowiek dzielny, był narazie bez użytku, bo wybór jego na posła nie byłby ani tryumfem, ani kompromisem. Może nabytkiem dla Koła polskiego?... Tak się to mówi. Jednem słowem, wybór jego nie był wskazany...”

Stosunek Weyssenhoffa do rewolucyi, wogóle krytyczny, zawarty jest pośrednio w następujących słowach (myśli Budzisa):

„Póki się stronnictwa drą między sobą, potem wchodzą w kompromisy, znowu się rozejdą i znowu rządzą dla porozumienia jakąś wspólną sesyę lub wiec na neutralnym gruncie, jest robota i zajmująca robota. Ale gdyby to n. p. ustało z powodu skojarzenia się stronnictw albo osiągnięcia wspólnie pożądanej szerokiej autonomii — *wtedy co? Trzeba będzie rzeczywiście pracować...?*”

Brak chęci do tej rzeczywistej pracy zarzuca Weyssenhoff wszystkim stronnictwom i stąd jego krytyczne, potępiające stanowisko.

Ale Weysenhoff potrafi też wyłowić, podnieść i odczuć momenta dodatnie z rewolucji. Taką chwilą była pięknie opisana przez Weysenhoffa, „wspaniała a nie czcza, lecz doniosła i skuteczna manifestacja“ z dnia 5. listopada 1905. r., która miała charakter „wielkiego ludowego nawrócenia, co powiało przez Warszawę“.

... „Idą jak wielki naród.

„Przodem krzyż i biała chorągiew zgody. Duchowieństwo, dygnitarze bez oznak dostojności, skromni obywatele bez pokory, idą współrzędnie, ozdobieni tylko streszczającą ich wspólny zaszczyt kokardą narodową. A nad nimi Orły na amarantach, Orły i Pogonie, Orły Piastów, Jagiellonów, Wazów, starożytnego kroju i nowe, pospiesznie haftowane ubiegłej nocy przez gorączkowe ręce Polek. Płyną hufce z odstępami, szykiem tryumfalnym i sfornym, jakby pokolenie „rodzone w niewoli, okute w powiciu“, w pierwszym dniu wolności przypomniało dziedzicznie sztukę maszerowania w tryumfie.

„Boże coś Polskę“ zagrała orkiestra przy pomniku i pieśń popłynęła szeroka, zgodna.

Mówcy przemawiają z pomnika... zagrzewają lud, niedowierzający oczom, wznoszą hasła: Niech żyje Polska! niech żyje wolność... niech żyje lud! Tysiące piersi odpowiadają okrzykiem: „Niech żyje Litwa“ — woła ktoś, wskazując na spiżową postać wieszczka. „Niech żyje“ — oddzwiecza z równym zapalem lud warszawski.

Wtem w ulicy Trębackiej powstaje szmer popłochu, coś jak zmiana wiatru na pełnym morzu, na który marynarz czujną zwraca uwagę.

Procesya w Woli!

Mówca zamilkł. Nawet głosy straży obywatelskiej, choć nawołują do spokoju, dźwięczą jakąś alternacją. Wszystkie oczy pobiegły w głąb ulicy Trębackiej.

Z zakrętu Nowosenatorskiej sypie się kłusem czereda wyrostków, znanych każdemu z dni ostatnich, tych jadowitych bąków od zamykania sklepów i zatrzymywania dorożek. Za nimi kroczy chudy ksiądz bez komży, otulając się czarnym płaszczem, jakby od zgrozy jakichś scen piekielnych, których dopiero co był świadkiem na

„krwawej Woli“. I wali tłum robotników czarny, skłębiony, złowrogi. Dwa sztandary koloru krwi.

— Boże! czyżby bratobójcza napaść!?!..

Już są blisko. Na krwawych sztandarach białe krzyż i biały orzeł. A więc nie. Więc do nas idą, do nas biegną, do nas się garną. Niema już wątpliwości... Odzywają się niewiadomo skąd organy nad głowami robotczego ludu i bucha pieśń:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej..“

My się tej pieśni nie boimy. Otwieramy przejście sztandarom robotników polskich. Wionęły mi przed oczyma wełniane, biedne, krwawe, ale znaczone krzyżem i orłem — i stanęły w szeregu za naczelną chorągwią narodową. I zagrzały tryumfalniej jeszcze okrzyki: „Niech żyje Polska! niech żyje wolność! Niech żyje lud!“

.....

A wreszcie programowy osąd pochodu:

„Ujrzałem nareszcie w przykładzie żywym ten proletaryat polski, uświadomiony przez wielkie, wspólne uczucie, nie zaś przez podejrzanych agitatorów; przez miłość, nie przez nienawiść. I wspomniałem ze wzgardą niedawno słyszanych rzeczników proletaryatu z ich mądrymi słowy i ich przewrotną teorię nienawiści:“

Tak wygląda program Weysenhoffa i sąd jego. Rozumie on, że ukrywanie faktów nie pomoże i zła nie naprawi. Dotyka się też ich i obnaża je i pokazuje rany, jakie jego zdaniem w społeczeństwie uzdrowić i zabiłnić trzeba.

Ale Weysenhoff czuł przecież, że ani w „Ogniu“ ani w I. seryi „Dni politycznych“ nie dał odpowiedzi jasnej i nie zaznaczył dokładnie swego zdania, własnego, pozytywnego nie negatywnego programu i czuł, że pisarz tej, co on miary, zagadnienia Polski współczesnej nierozwiązanego zostawić nie może. Postanowił też stanowisko swoje umotywić i wyjaśnić.

Ale nim dał „Hetmanów“, zatrzymał się jeszcze przy „Unii“, dokąd go pociągała głęboka, ukojenie przynosząca a ukochana przez niego przyroda litewska. Nadto nęciła go ciekawość poznania uczuć i myśli Polaków na Litwie, mających przed sobą dwóch nieprzyjaciół: ruch litewski i rosyjski rząd, zarażający powoli swym duchem. I tu więc pomieścił materiały do konstrukcji zagadnienia, programu, oparty o nowe doświadczenie.

Soczewką powieści, punktem ogniskującym uczynił znów p. Budzisz, który syt sławy „w kraju“ jedzie na Litwę odnowić „Unię“. Budzisz ma tu być nie tylko jednostką, ale typem, radykalnym reprezentantem skrajnych, nie liczących się z miejscowymi potrzebami, ale na frazesie opartych hasel politycznych, które nie znajdują odzewu na Litwie, gdzie są dusze umiejące stworzyć dobre stosunki bezpośrednie z litewskim ludem.

Lepiej się „Unia“ udaje młodemu Kazimierzowi Rokszyckiemu, który zdobywa rękę Krystyny i wspólnie z nią zakłada ognisko życia kulturalnego, oparte o ziemię i „len“. Małżeństwo Rokszyckiego z Krystyną, która ucieka ze środowiska, gdzie spokój i obawa czynu dyktuje program narodowego życia, jest niejako symboliczną wskazówką, że realizacyi „Unii“ szukać należy w codziennem życiu, pozytywnych zdobyczach dnia, a nie w szerokim frazesie, dobrym w czasie wesel.

Oto słowa ks. Antoniego, wypowiedziane podczas ślubu:

„Wstępując w koło nasze społeczne, nie na wodzów i dyktatorów nam przybywają, lecz aby węzłem swych młodych dłoni pomnożyć i utwierdzić łańcuch ogólny rąk, pilno tu wspólnej ojczyźnie potrzebny“.

Do tego ogniska działaczy dodatnich wejdzie nadto znany nam już ojciec Rokszyckiego, szczerze odczuwający wartość tej nowej Unii, cichy pracownik ks. Antoni Wyrwicz, technik Marczak i przedewszystkiem zacna na soplicowską modłę rodzina Budziszów z Wiszun.

Prócz Apolinarego Budzisz i oprócz licznych członków arystokracji, jak ks. Zasławska z synami, nie znającymi prawie zupełnie języka polskiego, Assernhofa, Hylzena, Kmity, Fedkowicza czy Pasterskiego, spotyka się z krytyką p. Chmura, celem dobitniejszego pogębienia, marny i jako człowiek, choćby wystarczyła państwowa koncepcya narodowej polityki polskiego Litwina. Zresztą trudno omawiać wszystkie osoby, których jest wiele, bo Weyssenhoffowi, jak zwykle, chodziło obok zagadnienia o odmalowanie pełni życia, o epiczne momenty i analizę psychologiczną tej bogatej gromady ludzi.

Ale ta wycieczka na Litwę była potrzebna, była skontrolowaniem zasad, eksperymentem, który poparł dotychczasowe wnioski nowem doświadczeniem i przez to ułatwił znacznie budowę programu w „Hetmanach“. Pozytywny bowiem program Dołęgi czy polityczno-narodowy innych bohaterów, rozszerzył

Weysenhoff motywem, wskazującym realną drogę dla polityki narodowej: przenoszenie i tworzenie polskich ognisk kultury na Litwie.

Tak przygotowawszy drogę, przystąpił do napisania „*Hetmanów*“, t. j. do wskazania zasad, pod których wodzą ma naród iść do wolności...

Na „*Hetmanów*“ składają się dwa pierwiastki, ściśle przyczynowo ze sobą związane: erotyczny i społeczno-narodowy. Pierwszy rozwinięty ogromnie przewidująco, z dalekiem zagłębieniem się w przeszłość celem uprawdopodobnienia późniejszej akcji i decydującego wpływu Heli von Latzky i jej ojca na Sworskiego i rewolucję, jest pierwiastkiem ubocznym i mimo całą wierność psychologiczną zmysłowej i zdeprawowanej, zwłaszcza w części pierwszej tak świetnie zarysowanej, postaci Heli — nie wychodzi poza ramy tendencyjnego, technicznego środka, ułatwiającego postawienie i przeprowadzenie zawodowego zagadnienia. Nadto jest on owym pokostem powieściowym, który drogą fabuły utrzymuje uwagę czytelnika i uprzystępnia mu samo zagadnienie.

Doniosłość zaś zagadnienia tkwi w przełomie duchowym, jaki przechodzi Tadeusz Sworski w stosunku do Rewolucji.

Ale ze wszystkich tych okresów wydobyć istotne zapatrywania Weysenhoffa jest rzeczą ogromnie trudną, bo autor znów schował się za podwójne oszańcowania, ukrywające jego subiektywizm: formę pamiętnika i znany z „*Pana Podfilipskiego*“ naiwny, pełen głębokiej satyry sposób myślenia piszącego pamiętnik. Wnioski więc, o ile nie znajdują oparcia w współczesnych „*Hetmanom*“ artykułach, muszą być tylko warunkowe...

Sworski, bohater „*Hetmanów*“, to literat — w myśl zapatrywań autora — szukający myśli przewodniej, nie tonów i wyrazu, ujmujący zjawiska „rozważą“, ale powodujący się przedewszystkiem uczuciem. To forma duszy, która pod względem zasadniczych cech charakteru stawia go obok rozważnego sentymentalisty Tomasza czy Fabiusza, Dołęgi czy Rokszyckiego, którzy, choć pod innymi występują nazwiskami, są tą samą ulubioną przez Weysenhoffa koncepcją człowieka. Pod względem treści jest on wyznawcą, znów w artykułach przez Weysenhoffa wyznawanego, demokratyzmu, przeprowadzanego przez szlachtę, to jest przez tę wiecznie odradzającą się warstwę równouprawnionych i uświadomionych obywateli, do których i lud wejdzie i już wchodzi. Miarą takiego szlachectwa:

cnota czujności na sprawy publiczne i patriotyzm. Naturalnie tak pojęty demokratyzm ma znaczenie względne. Ale to jest konieczne dla zabezpieczenia bohaterowi odwrotu.

Pod względem patriotyzmu jednoczy w sobie Sworski wszystkie cechy przeciętnego Polaka: patriotyzm, równający się w swej żarliwości religii; — przez poezję wytworzony patriotyzm-mesyjanizm, ubóstwiający Polskę, krzepiący się wiarą w nieśmiertelność narodową, proroctwo zwycięstwa sprawiedliwości czy w cud; — patriotyzm krytyczny, nienawidzący współobywateli za bezczynność i patriotyzm nienawiści przeciwko wrogowi, który stwarza anormalię społeczną, potrzebę „negatywnej pracy“, „obrony swego istnienia zapomocą oporu walki, a w braku sił i urządzeń normalnych zapomocą spisku“.

Ostatnie pierwiastki tłumaczą nam możliwość przejścia Sworskiego do obozu rewolucyjnego, w którym on odrazu uważać będzie siebie za „mniejszego rewolucjonistę“.

Szybko i łatwo wzięła go w swoje ręce chwila „dyabło szybko krocząca“, w której Polacy, zdaniem Sworskiego, z powodu politycznej bezsilności odgrywali rolę podręczną, i wypadki, które dawały przeświadczenie, że w razie zgodnego postępowania zwyciężyć można. Sworski jako neofita z zapalem przyjąwszy nowe hasła, zgodę rozszerzył nie tylko na współrodaków (tylko z wyłączeniem endecyi, bo był przecież socjalistą) ale i na Rosyan i Żydów. Przekonały go zaś nie tyle argumenty partyjne, słowiańskie czy ogólnoludzkie, ile przedewszystkiem ten najsilniejszy, nie znoszący oporu uczuciowy rozkaz: muszę w to wierzyć. Ale ten uczuciowy podkład jest jednocześnie najniebezpieczniejszy, bo zależny od nerwów, od lada zewnętrznego wpływu. I tak się też dzieje. Dość wczesnie Sworski zaczyna odczuwać wybuch zbyt wielu naraz namiętności i za szybkie mknięcie w przyszłość, za dużo mu też tych niedojrzałych rewolucjonistów. Choć działa w partyi, „jeździ“ inne warstwy i prowadzi robotę, widać już rysy. Rozpadną się one zupełnie z chwilą przyjazdu Héli — zmysły odciągną go zupełnie od pracy i na pierwszy plan wydobędą egoistyczny pierwiastek. Rewolucya wyda mu się bezcelową, nie zobaczy w niej nic prócz przewrotu, uderzy go fałsz, słabość i nieuczciwość w całej akcji. Zacznie go wszystko razić: potępienie narodowców i idealizacja Żydów, strajk powszechny i zgryzty w czasie manifestacyjnych obchodów, zabójstwa polityczne

i walka stronnictw, brak pozytywnych zdobyczy i zawistość od Rosji czy brak sił moralnych.

Zwłaszcza Żydzi, którzy, jak mówi Weyszenhoff, „nie stali się dotąd przyjaciółmi ziemi, są tylko przyjaciółmi siły“ — wydadzą mu się, podobnie jak w „*Ogniu*“, najgorszą stroną rewolucyi, jej „klęską“, tymi, co chcą o własnej tylko myśląc korzyści przynieść uszczerbek Polsce.

Poparciem słuszności sądu ma być działalność Latzky'ego, Heli, Helda i tych wszystkich, którzy w najgorętszych chwilach narodowej zgody — nieśli rozłam i przelewali niepotrzebnie bratnią krew robotniczą.

Sprzymierzeńcy Rosyanie w osobie choćby Tomiłowa rychło też okażą swoje krwiożercze, dzikie i nieludzkie instynkty.

To też ostateczny bilans tego „mniejszego rewolucjonisty“ będzie bardzo pesymistyczny.

Oto jego sąd:

„Aby dojść do takiej „rewolucyi“ nie trzeba długo pisać, ani wiecować. Upić się tylko, wziąć browning w garść, wyjść na ulicę i strzelać do wszystkich, którzy się nie podobają“.

A sądu tego nie zmienia ani zrozumienie i ocenienie ogromnych ofiar, ruiny ekonomicznej, krwi i zapału lub częściowe wypowiedzenie wiary w jej udanie się:

„Inaczej, samoistniej trzeba było przygotować ten przewrót wewnętrzny: rozbudzić w ludzie żywotne, nie zaś mordercze instynkty, wzmacniać w nim miłość, nie zaś nienawiść“.

Ale te półprzychylnie wypowiedzenia ważne są do charakterystyki stanowiska autora, który pomimo zaznaczania ujemnego, niszczącego wpływu rewolucyi, w całej pełni odczuwał jej znaczenie i hipnotyzujący wpływ na Polaków, którzy ją zidentyfikowali z marzeniami swemi o niepodległości Polski.

Dlatego też Weyszenhoff obniża wartości ludzi, którzy wzięli udział w rewolucyi, przyznaje im nawet „symboliczną wartość ofiar, których nazwiska *znaczyć* będą w rojeniach przyszłych pokoleń“, ale twierdzi, że się *pomylili i poszli na lep i łup Żydów i Prus*, które z za kulis dopomagały do tego rozkładu narodu polskiego i wykazuje, że w naiwności swojej stali się narzędziem w rękach obcych, którzy dla przynęty wystawiali hasła narodowe. *Rewolucyę bowiem, zdaniem jego, prowadzili „ślepcy“ lub „podstępni wrogowie“.*

Takie jednak stanowisko, wykraczające poza nadzwyczaj sumienne umotywowanie psychiki jednostki, poddające surowej krytyce wypadki dziejowe, pociągało za sobą konieczność postawienia własnego programu.

W „*Hetmanach*“ uosobieniem tego programu jest na pół allegoryczna postać Wojciecha Piasta.

Kilka razy przypominana i rozszerzana genealogia jego, która w tych, co panowali na Wawelu, szukać każe jego poprzedników, a potem stawia go w szeregach kościuszkowskich, pod Samosierrą, w noc listopadową pod Belwederem, co pisać mu każe manifesty demokratyczne, być powstańcem w r. 63, brać udział w walce o prawa w Galicyi, uchodzić przed pościgiem pruskim, by wreszcie ponieść śmierć w cytadeli warszawskiej, a przecież nie zginąć — te wszystkie szczegóły, skupiające w sobie wypadki porozbiorowych dziejów, nie tylko dowodzą allegoryczności postaci, ale i jasno tłumaczą nam jej znaczenie.

Do tego samego wniosku doprowadza nas rola, jaką Wojciech Piast odgrywa w samej powieści. Pilnuje sprawy polskiej podczas konferencji pokojowej w Hadze, stwierdza przy każdej sposobności żywotność sprawy polskiej, bierze udział w pochodzie narodowym, na zgromadzeniach. Gdzie największe niebezpieczeństwo grozi narodowi, zjawia się Piast i pierś swą nadstawia — znany i ogólnie nawet przez wrogów ceniony. Powołują się na niego jak na autorytet, nawet fałszują jego zdanie... Chociaż czasem uważają go za szlachetnego marzyciela, Don Kichota czy za mumię, nie rozumiejącą prądów nowoczesnych.

„Zjawa jego łączy z najlepszymi osobami, ze wzruszeniami wręcz odmiennymi od powszedniego wątku życia“, jest natchnieniem myśli, żeby go znać, trzeba mieć sumienie czyste, trzeba się z „pożarów egoistycznych wyzwolić“ i dla ojczyzny pracować. Sworski, ów przeciętny Polak, odczuwa „coś swojego własnego w duszy i losach tego człowieka“.

Te wskazówki historyczne i psychologiczne każdego na pozór człowieka przemieniają w abstrakcję, w nieskończenie trwającą, niezniszczalną ideę Polski, jej bytu i życia.

Ale on nie tylko wciąż przypomina obowiązek ciągnięcia żywotu wielowiekowego narodu naszego, jednocześnie wskazuje nam drogi postępowania.

Oprócz więc wezwań do tego, by wierzyć w życie i w siebie, każe być sobą, rozwijać swe narodowe właściwości, pielęgnować

narodowego *Ducha*, wzmacniać *własne* siły, *miłości* wzajemnej hołdować i zgodzie, bezpartyjności...

Pozornie szczegółowy program tkwi w równie ogólnikowych wskazówkach, by nie schodzić pod znaki Kosmosu (socjalizmu) i nie dać się uwieść „falszywym i lekkomyślnym“ wyznawcom Polski....

Te i tym podobne pojęciowe, teoretyczne wskazania układa Piast w teogonię, która ma być dla Polaków ewangelią, umocnieniem w wierze. Składają się na nią wskazania Sejmu Wielkiego, Kościuszki, Poniatowskiego, Mickiewicza, wogóle wszystkich, wiecznie żywych w narodzie „hetmanów“. On jest tych idei wyobrazicielem, on miał wykazać, że w rewolucji idee „hetmanów“ nie zostały w czyn wprowadzone, żeśmy jeszcze nie oczyszczeni i jeszcze nie zgodni.

Kiedy to się stanie, kiedy skończy się rola Piasta i „przeniesie się w inne pokrewne ciało“ — niewiadomo.

„...tego nie doczekasz ani ty, ani wnukowie twoi“...

Ostateczny więc wynik, pozbawiony nawet bliższej nadziei, a tem jest pełniejszy pesymizmu, że nam Weyssenhoff nic nie mówi, co naprawdę mamy czynić, bo wzmianka o obronie i walce z Żydami czy o uczeniu się zdrowego demokratyzmu ludzi praktycznych, jaśniej nam ogólników nie przedstawia. W ten sposób Piast w powieści staje się tylko probierzem krytycznym, ale probierzem nie wychodzącym poza ogólniki, zasadniczo słuszne, lecz mające w życiu znaczenie tylko — literackie.

Dlatego też Weyssenhoff w „*Hetmanach*“, mimo pozornej głębokości Piasta, jako literackiej kompozycji psującego całość utworu, nie wyszedł poza wskazanie błędów, które przedstawił już w „*Dniach politycznych*“.

Program Weyssenhoffa streścić się da jednym słowem: narodowy i bezpartyjny. Wprawdzie ludzi w myśl tego programu pracujących dał więcej niż w poprzednich utworach, poważnie n. p. mówi o pracy pny Czadowskiej, ale zakres ich pracy nawet nie równy temu, co czynił starszy Rokszycki, więc znowu nic poza ogólniki, polegające na bliższych lub dalszych stosunkach z Piastem.

„Hetmani“ zatem nie mogą być uważani za powieść programową, w której znaleźć można wskazówki postępowania: przeciwnie Weyssenhoff w myśl swoich uzdolnień dał znowu negacyę, wykazującą, na jakie niebezpieczeństwa narażona była

dusza polska, jak im się poddała, jak się wreszcie wyzwoliła. Postać Sworskiego, tak podobna do poprzednich bohaterów pozytywnych, kończących na zamiarach lub w pół drogi, rzadko tylko doprowadzających do celu swe plany, miała być przykładem, jak rewolucya łamała jednostki, które posiadały wszelkie dane do stania się pożytecznymi.

W pochodzie zaś twórczym Weyssenhoffa „*Hetmani*“ byli najwyższym wychyleniem krzywizny zasadniczej linii, którą biegną jego utwory, byli też koniecznie potrzebną spowiedzią autora.

Wypowiedziawszy zaś swoje „credo“ społeczne i narodowe, odsunawszy od siebie wszelkie insynuacje i podejrzenia, szczerze się przedstawivszy, sądził Weyssenhoff, że może już teraz, bez wyrzutów sumienia ze strony społeczeństwa z całym umiłowaniem i rozkoszą, niemal ekstazą rzucić się w gęstwę lasów, w tajemnicę leśnych ostępów, o których nam już przygodnie opowiadał, w niezgłębione życie przyrody, by odtworzyć jego tętno i wykazać wpływ na kształtowanie się dusz. Napisał czy wyśpiewał „*Sobola i pannę*“, poemat nie powieść, hymn o tajemnym życiu przyrody, gdzie, może jak nigdy przedtem, szczerze, swobodnie rozgadał się o swoich umiłowaniach bez cienia satyry, bez myśli społecznej.

Ale to był tylko odpoczynek, zacerpnięcie sił, mniemanie bowiem, że myśl społeczną może już porzucić, okazało się mylnem.

Weyssenhoff, na wskroś społecznik, odkrył mimochodem w „*Sobolu i pannie*“ nowe zagadnienie i uświadomił sobie, że je pominął w rozwiązywaniu ogólnego zagadnienia narodowego: to wieś, to lud...

Jakaż jego rola w narodowej pracy?

Narazie zaznaczył tylko pewne momenty w zbiorze nowel p. t. „*Znaj pana!*“, gdzie obok dawniej już dotkniętych zagadnień, obok oświaty, polityki „krajowej“ Polaków na Ukrainie, ofiarności społecznej, czy psychologicznych studyów w postaci p. Teodory i ks. Koreckiego, dotyka podlaskich, krwawych, unickich ran: księdza, co na kresowej łacińskiej parafii w czasie burz pod piorunami ślubów Unitom udziela, i chłopą Kłody, znękanego nędzą, a przecież dalekiego od użycia łapówki nawet na chrzest dzieci.

Odpowiedź obszerną na pytanie, jaka jest rola ludu, daje dopiero „*Gromada*“, której akcja, choć posunięta w czasy porewolucyjne, opiera się o nowe, rewolucją wywołane, stosunki.

Akcja „Gromady“, pomijając stronę romansową, która, podobnie jak w „Hetmanach“, osłabia wartość zasadniczej myśli, a niewiele przyczynia się do pogłębienia psychologii postaci, choć aż dwie pary łączą się węzłami małżeństwa, streszcza się cała w zabiegach nad założeniem „domu ludowego“ w Mielnie, wsi łowickiej w Królestwie Polskiem.

Założenie domu ludowego projektuje Tow. rolnicze, skupiające w sobie przedewszystkiem szlachtę-obszarników. Przeciwko nim występują stronnicy „Ludowca“, którzy w imię swobodnego rozwoju ludu i emancypacji jego z pod wpływów dworu wszelkimi siłami starają się nie dopuścić do realizacji planu, zrodzonego w głowie szlachty i, zdaniem ich, ludowi narzuconego. Pośrodku tych dwóch prądów, reprezentowanych przez szlachetnie nakreślonego Godziembę i karykaturalnego prof. Owocnego, stoi Stefan Czernski, szlachcic, właściciel niewielkiego folwarku, który, wyznając teoretyczny program ludowców, w praktyce spostrzega brak jego uzasadnienia. Bliższe poznanie wsi, współpracy dworu z ludem, zrozumienie wpływu dworu na lud tak pod względem narodowym, jak zwłaszcza ekonomicznym — każe mu ostatecznie stanąć do wspólnego szeregu ze zwalczanym przez siebie obozem. Sprzedanie Niespuchy na szkołę rolniczą, w myśl programu Tow. rolniczego, oddanie jemu prawie całego zarządu, zerwanie z prof. Owocnym, wreszcie ślub z Maniusią, która obok więzienia była głównym motorem tej ewolucji, to dowody obudzenia się w Czernskim po przodkach odziedziczonego szlachectwa, przynależności do warstwy, która, zdaniem Weysenhoffa, w Polsce zawsze była, jest i być musi przewodniczką w narodowej pracy.

Szlachtę tę, która w Polsce znajduje „właściwy“ dla swego rozwoju „klimat“, pojmuje Weysenhoff na swój sposób demokratycznie. Pojęcie jej jest ściśle z wsią związane, o nią oparte jako o podstawę bytu, ale zakres jego szeroki, nie zamykający się w ramach jednej klasy, zacieśnionej urodzeniem i t. p. względami. Jest ono raczej „patentem dojrzałości do udziału w rządzie i prawach obywatelskich“, objąć więc musi z czasem i mieszczan i lud i wogóle wszystkich tych członków narodu, którzy staną na poziomie użyteczności narodowej pod każdym względem.

Tezę swoją popiera Weysenhoff dowodami, pracą szlachty w Tow. rolniczem, szlachetną działalnością Godziemby i innych, nawet Bronieckiego, nie unikając jednak dla pełności i prawdzi-



wości obrazu i społecznych, ujemne cechy arystokracji, starszej swej braci, pielęgnujących osobników, by dokładnie i wszechstronnie przedstawić ścieranie się prądów i sił, powinności i nałogów warstwy prowadzącej. O ile jednak dowody pozytywne mogą częściowo o wartości tezy przekonać, o tyle część negatywna, praca obozu przeciwnego przedstawiona nienaturalnie, sztucznie i karykaturalnie, bez pogłębienia psychicznego mimo usiłowania różniczkowania typów (n. p. Winter), nie przekonuje nas zupełnie o błędach zasadniczego programu „Ludowca”. Udowadnia tylko, że tacy ludzie, jak n. p. Owocny, czy nie znający życia Czemski, nie mogą mieć słuszności, względnie, że takie wypaczenie programu jest szkodliwe dla społeczeństwa.

Brak tu zatem wyciągnięcia wniosków przeciętnych ze stosunków, panujących w Królestwie Polskiem, brak tej bezstronnej wypadkowej, która w powieści ideowej, rozwiązującej problemy nie małego zaścianka, ale całego narodu, musi być uwzględniona.

Brak tej linii wypadkowej zauważyć można i w przedstawieniu pracy ludu. Występuje on u Weyssenhoffa jako nowość w roli dopełnienia pojęcia szlachty, jako czynnik, rozszerzający szeregi prowadzących nawę narodu. Lud w Królestwie Polskiem z powodu stosunków politycznych rozwijać się może tylko zwolna i jednostronnie. O obudzeniu się tak żywołowem, jak w Galicyi, mowy niema. Życie zatem gromady chłopskiej jest ubogie, obraca się około zagadnień natury ściśle ekonomicznej, rzadko wychodząc poza te ramy na szeroki świat narodowych pragnień i ideałów. Brak do tego życia przygotowania w szkole. Brak odpowiedniego środowiska do wyrobienia się społecznego czy politycznego. Z tego też wynika specjalny stosunek ludu do inteligencji dworskiej, która bardzo często odgrywała w Królestwie główną rolę uświadamiającą narodowo, główną, ale nie jedyną. Samorzutna bowiem inicjatywa współdzielcza obok działalności politycznej stronnictwa ludowego czy narodowo-demokratycznego, także nie była bez wpływu.

Weyssenhoff ujął tylko pierwszy rodzaj wpływów, a licząc się z powolnem budzeniem się ludu, dał nam może celowo jednego przedstawiciela ludu, walczącego z ciemnotą prawie całej gromady, Rykonia. Z niego chciał uczynić typowego, nowego chłopca polskiego XX. wieku, ubrał go więc we wszystkie dodatnie cechy, nie odłączając nawet chłopskiego „w pysk”, jako

najlepszego argumentu wobec przeciwnika, i przez to odebrał mu życie, temperament, pozbawił nawet cech prawdopodobieństwa. Współpraca zaś Rykonia ze szlachtą, zrozumiała zupełnie na tle całego programu społecznego Weyssenhoffa, że szlachta lud do pracy przyjmuje, nie zaś lud ją od pracy siłą rzeczy odsuwa, odbiera mu cechy tak charakterystycznej, twórczej inicjatywy ludu, a skazuje na wykonawcę zresztą dobrych i pożytecznych planów „starszej braci“.

Pomijając jednak te niedomagania kompozycyjne, wykonania, zaznaczyć musimy i podkreślić ów charakterystyczny zwrot do ludu, jako siły podstawowej, wniknięcie głębsze w kwestyę ludową, zrozumienie jej doniosłości i to głębokie odczucie nowych, stających się stosunków, opartych o pewnik, że rola szlachty już się skończyła, podobnie jak rola mieszkańców Waru czy Chojnogóry, że lud przecież z dniem każdym się uobywatela, wstępuje czy zajmuje szeregi szlachty z urodzenia i stwarza nową szlachtę, wyrosłą z obowiązku i pracy dla narodu gromady, że jednym słowem: szlachta tylko przewyższa „tymczasem“ i to bardzo krótko....

Obok tego głównego, zasadniczego zagadnienia, pomijając cały szereg krótkich, ale pięknych i żywych obrazków przyrody czy życia na wsi ze szczególnem uwzględnieniem oryginalności zakątka łowickiego, zaznaczyć należy poruszenie wielu ze wsią ściśle związanych kwestyi, które Weyssenhoff przygodnie porusza, a które mimo wszelkich błędów „Gromady“ czynią z niej dzieło poważne, zasadnicze; a więc kwestya ekonomicznego rozwoju wsi, oświaty ludu, ochronek, szkół rolniczych, współdzielczości, niedoli szkolnictwa, nawet kwestya regulacji Wisły i tyle innych, które wprowadzają nas w nieznanne nam bliżej środowisko wsi polskiej w Królestwie Polskiem.

Kwestya ostatnia, obok faktów zaznaczona przez symboliczny mróz i śnieg majowy, związany z przybyciem nowego naczelnika i zakazem budowy domu ludowego, to głębokie odczucie daremnych usiłowań narodu wobec przeszkód, jakie stawia wszelkiej pracy kulturalnej rząd rosyjski. Jedyną na to radą, którą zarówno rozumie Broniecki, jak Rykoń: iść naprzód gromadą, społeczeństwem, solidarnie.

I teraz dopiero, podobnie jak w „Hetmanach“, na tle tego wspólnego niebezpieczeństwa, staje się zrozumiała idea Piasta, żądanie Weyssenhoffa, że nie powinno się żadnej warstwy ska-

zywać na wymarcie, jeno w każdej szukać pracowników w wielkiem dziele przetrwania.

W ten sposób Weysenhoff zamyka ogromne koło zagadnień, dla których rozwiązania i rozwinięcia rewolucja główną była podniętą i bodźcem. Zatoczył autor kolisko, w którym teraz tylko rozwijać, pogłębiać mu pozostaje poszczególne motywy, bo całość już dał z siebie. Może nie wszystkich ona zadowoli, może nie zawsze stoi na wysokości bezwzględnie obiektywnych rozwiązań, ale nigdy nie jest nieumotywowaną insynuacją. Trzeba ją ocenić jako szczere wyznanie miłującego ojczyznę człowieka. Autor bowiem, chociaż się często myli, nie zożydza, ale zbija, nie opluwa i nie bezczęści, ale walczy, a nawet, kiedy ironizuje, czuć, że jest to ironia, co krwawi i że cel jej szlachetny.

Cała zatem dotychczasowa twórczość Weysenhoffa, zamykająca się w zwartem wspólną myślą kolisku kilkunastu powieści i nowel, ujęta ze stanowiska społecznego, to badanie użyteczności poszczególnych warstw narodu ze specjalnem uwzględnieniem szlachty i jej zasług. Definicja narodu jest wprawdzie jednostronna, owiana arystokratyczno-artystycznymi skłonnościami Podfilipskiego, uzależniona przynależnością do warstwy szlacheckiej, ale rozwinięcie tezy w „Gromadzie“, wykazujące nie tylko przejściowość, ale i ciasnotę pojęcia w dotychczasowem, uprzywilejowanem ujęciu, a zwracające uwagę na coraz rosnący udział ludu, który w drodze nie ustanie, dowodzi, że Weysenhoff, odczuwając ewolucję społeczną, która przemocą faktów zwycięża, roli hrabiego Henryka nie odegra, że mimo wszystko chce iść z duchem czasu dla dobra ojczyzny, która w walce z wrogiem patrzeć tylko musi na użyteczność danej grupy czy jednostki, nigdy zaś na nałogi choćby wiekami uświęcone.....

I za tę szczerłość zapatrywań, tak żywo charakteryzujących ewolucję, jaka się w społeczeństwie polkiem odbywa, należy się Weysenhoffowi szacunek nawet tych, którzy na innych drogach widzą swą służbę.

To też zamykając ten jednostronny, szukający przewodniej myśli, przegląd dzieł Weysenhoffa, użyć możemy do ostatecznej charakterystyki jego własnych słów:

„Jedyna praca „literacka“ godna dzisiaj obywatela, to *rozdzieranie zaston*, któremi wiek niewoli, a może i wieki całe ślepoty, jak plugawe pająki zasnuły między nami a krainą rzeczywistego szczęścia, rzeczywistych

przeznaczeń ludzkości. To nie jałowa literatura, to akcja, to przybliżenie miliona ust do czary życia...”

Słowa te zastosowane do Weyssenhoffa, stawiają go mimo całej odrębności obok Żeromskiego czy innych — bo Weyssenhoff przecież, jak to próbowałem wykazać, począwszy od „Zaręczyn Jana Betzkiego” czy „Podfilipskiego” aż do „Gromady” wciąż — mniejsza o to, świadomie czy nieświadomie — „rozdziera zasłony”.

Choć go zdolności pociągać raczej powinny ku tym stronom twórczości, które wydały niedawno „Sobola i pannę” i jeszcze niedokończoną „Puszcze”, on wciąż wraca do tej myśli, która stanowi najgłębszą istotę życia Polaka — i na swój sposób ją rozwiązuje...

A nawet „Soból i panna”, zdaje się i „Puszcza”, wiąże się z całością zagadnienia, dowodząc, że w Polsce są siły do życia jutra.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 76
Tel. 26-68-63

BIBLIOTEKA IBL

F.

6958